



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jadwiga Rojek

Okupacja w gminie Górzno

Gdy wybuchła II wojna światowa miałam 13 lat. Mieszkałam wraz z rodzicami, rodzeństwem i babcią na wsi w Osadzie Młyńskiej Ignaców, pow. Garwolin, woj. warszawskie. Było to piękne uroczysko, położone wśród lasów (głównie dębowych) z dużym stawem gromadzącym wodę z miejscowych źródeł. Woda ta, zabezpieczona potężnym murem kamiennym, wykorzystana została jako siła napędowa do uruchamiania olbrzymiego koła młyńskiego, puszczającego w ruch różnego rodzaju walce mielące zboże na mąkę. Każda pora roku miała tu swój urok. Najpiękniejszy okres to wiosna – budząca się do życia przyroda i niezapomniane koncerty różnego ptactwa, w tym głównie koncerty słowików. Lasy pełne były dzikiej zwierzyny. Najbliższe miejscowości to: majątek ziemski Rowy oraz wsie Antoniówka i Kobyla Wola. Miasto powiatowe Garwolin oddalone było o 12 kilometrów, a gmina i parafia Górzno o około 7 kilometrów. Czteroklasowa szkoła podstawowa, do której w tym czasie uczęszczali mój jedenastoletni brat Józef i ośmioletnia siostra Maria, znajdowała się w Kobylej Woli, w odległości dwóch kilometrów od naszego domu. Ja rozpoczynałam w tym czasie naukę w szóstej klasie, w siedmioklasowej szkole podstawowej w Rudzie Talubskiej, oddalonej o siedem kilometrów. Drogę tę przemierzaliśmy pieszo. Jedyne zimą parobek lub tata odwozili nas na lekcje sankami.

Pierwszy dzień wojny pamiętam dobrze, jakby to było wczoraj. Był to dzień imienin naszego ojca. Miał na imię Bronisław. Do tej uroczystości przygotowaliśmy się kilka dni wcześniej. Oprócz naszej trójki były dzieci kuzynów z Małkini, których rodzice nie zdążyli odebrać z wakacji z powodu przygotowań do wojny. Ich ojciec był zawiadowcą stacji kolejowej w Małkini. Dzień zaczął się pięknie. Był ciepły, słoneczny poranek. W czasie śniadania stanęliśmy przed tatą z bukietami polnych kwiatów, a moja siostra i kuzynka wyrecytowały nauczone przez babcię wierszyki. Potem były całusy i tata powiedział: „Dzieci wybuchła wojna. Niemcy napadli na nasz kraj. Musicie być dzielni i słuchać mnie i mamy we wszystkim”. Nastrój radości przysł. Kuzyni rozplakali się, że nie ma z nimi rodziców i że już ich nie zobaczą. Mama uspokoiła ich i kazała pójść bawić się na podwórku.

Nie minęło kilkanaście minut, gdy nadleciało pięć samolotów niemieckich, które kilkakrotnie okrążyły teren, a następnie wystrzeliły serię z karabinu maszynowego. To było przerażające – krzyk dzieci, pisk ptactwa, ujadanie psów i rzenie sponżonych koni, które stały przed młynem w oczekiwaniu na zmieloną mąkę. Babcia siedziała przy radiu i słuchała kolejnych komunikatów o walkach obronnych. Ojciec, jako były legionista, uczestnik walk z bolszewikami w czasie I wojny światowej i członek Strzelców Konnych w Garwolinie, komentował te wiadomości zebranych chłopom w młynie i odwiedzającym go mieszkańcom okolicy. Podbudowywał nas wszystkich patriotycznie, że polskie wojsko jest silne, że odpędzimy wroga niemieckiego, że wojna szybko się skończy.

Już po kilku dniach drózkami leśnymi obok naszej osady zaczęli wędrować uciekinierzy z Warszawy, przeważnie pieszo z całymi rodzinami i z małymi dziećmi, niosąc podręczne tobołki stanowiące ich najważniejszy dobytek. Byli brudni, głodni, ze zranionymi, poobcieranymi nogami, przerażeni i potwornie zmęczeni. Rodzice dysponując dobrymi w owym roku zbiorami rolnymi i własnym młynem do przerobu mąki, uruchomili punkt pomocy. Mama trzy razy dziennie piekla w olbrzymim piecu chleb. Babcia, przy pomocy wędrujących, gotowała tzw. zupę dziadowską – z jarzyn i ziemniaków, okraszoną słoniną lub śmietaną. Opatrywano rannych. Gorzej było z przespaniem się, zwłaszcza kiedy padał deszcz i było zimno. Tata udzielał informacji o aktualnych działaniach wojennych podawanych przez radio, wskazywał drogi i miejscowości, do których kierowali się uchodźcy. My – dzieci dorastaliśmy błyskawicznie. Włączono nas do prac wykonywanych przez dorosłych. Do szkoły nie chodziliśmy, gdyż zajęcia zostały przerwane. Ze względu na bezpieczeństwo (naloty trwały bardzo często) nie jeździliśmy także do kościoła.

O tym co się działo w okolicy donosili ludzie przyjeżdżający do młyna. Wieści były przerażające. Niemcy bardzo szybko posuwali się w głąb naszego kraju. Trzy kilometry od naszej posiadłości przebiegała szosa Warszawa – Lublin. Poruszanie się po niej było bardzo utrudnione z powodu przemieszczania się jednostek wojskowych, wędrujących na wschód uchodźców i częstych nalotów samolotów niemieckich. Nadzieją dla wszystkich była wiadomość o wypowiedzeniu Niemcom wojny przez Francję i Anglię. Ale już za kilka dni wielkim szokiem był sygnał o napadzie na Polskę Związku Radzieckiego. Uciekinierzy zaczęli wracać z powrotem do Warszawy. Kilka rodzin przywitało się z nami jak dobrzy znajomi. Coraz częściej widzieliśmy grupki żołnierzy z rozbitych formacji, z bronią i bez broni, z dowódcami lub bez. Byli zdezorientowani, ale za wszelką cenę pragnęli dotrzeć do jakiejś jednostki, by walczyć dalej. Ktoś zostawił u nas wiadomość, że wszystkie rozbite oddziały należy kierować w lasy koło Maciejowic.

W dniu z osiemnastego na dziewiętnasty września 1939 roku wojsko polskie stoczyło bitwę z Niemcami w Gończycach, na krzyżujących się drogach Warszawa – Lublin i Żelechów – Sobolew. Walki bezpośrednie żołnierzy polskich i niemieckich miały miejsce również we wsi Górzno, gdzie zabito dwóch Niemców, a także na polach wsi Unin. Aby oświetlić drogę czołgom Niemcy podpalili napełnioną zbożem stodołę w majątku ziemskim Wilkońskich, tzw. czworaki zamieszkałe przez służbę dworską oraz nowo wybudowaną szkołę w Górznie. Tej nocy nikt z nas nie spał. Ze strachem obserwowaliśmy unoszące się ponad lasem płomienie ognia i dochodzące do stamtąd odgłosy strzałów.

Wojska polskie, wycofujące się w popłochu na stronę Warszawy, pozostawiały na polach i w lesie skrzynie z amunicją i różnego rodzaju broń. Po wycofaniu się walczących oddziałów mieszkańcy wsi i gminy Górzno zmagazynowali w kilku miejscach zebrany arsenał. Jeden magazyn był ukryty w ziemi we wsi Ostrożeń, drugi znajdował się we wsi Górzno, a trzeci w lesie unińskim. Nasz tata zgromadził kilkanaście rodzajów broni ręcznej, którą ukrył w zakamarkach młyńskich i innych budynkach. O tym dowiedziałam się dużo, dużo później, gdy złożyłam przysięgę w Armii Krajowej i pracowałam jako łączniczka.

Nasze romantyczne uroczysko stało się doskonałym lokum na punkt kontaktowy organizacji podziemnych. Środek lasu, trudny dojazd wąskimi drózkami dla osób nie znających terenu, młyn, do którego przywozili zboże okoliczni mieszkańcy i z tego powodu można było przenosić różne rzeczy: prasę, żywność dla partyzantów, a nawet broń. Rodzice, a zwłaszcza ojciec, często powtarzał nam, że każdy człowiek, każdy z nas jest „udziałowcem” historii swojej rodziny, swojej miejscowości i swego narodu. Patriotyzm miał we krwi. Jako młody chłopak zgłosił się na ochotnika do walki z bolszewikami, za co otrzymał Krzyż Walecznych.

Po otrząśnięciu się z szoku klęski wojennej wszyscy zaczęliśmy przystosowywać się do nowej rzeczywistości. My zaczęliśmy uczęszczać do szkoły, w której atmosfera była inna niż przedtem. Po kuzynów pieszo przyszedł ich ojciec i zabrał ich do domu. Niemcy wprowadzali nowe zarządzenia administracyjne. Najważniejsze dla nich to tzw. kontyngenty rolnicze – ustalona liczba bydła, kur, trzody chlewnej, którą zobowiązany był dostarczyć rolnik w odpowiednim terminie. Bydło musiało być kolczykowane, a konie miały wypalane numery z prawej strony uda. Mieszkańcy wsi zobowiązani byli na wezwanie stawiać się do prac społecznych na rzecz urzędujących Niemców w ramach „szarwarków”. Zaczęły się łapanki niesfornej młodzieży i wysyłanie na roboty do III Rzeszy. W naszym powiecie i w gminie ludność zaczęła organizować się w podziemne grupy do walki z okupantem.

Nie wiem kto był inicjatorem nasłuchu radiowego. Wiem, że w bardzo krótkim czasie, oprócz naszego nadajnika radiowego, przybyło sporo innych aparatów. Późnym wieczorem wyjmowano niektóre z nich ze skrytki, którą był olbrzymi piec do pieczenia chleba oraz piece do ogrzewania mieszkania i rozpoczął się rytuał kręcenia galką i nasłuchiwanie. Słowa „Halo, halo – tu mówi Londyn” zapierały dech w piersiach zebranych osób. Następowala martwa cisza w oczekiwaniu na optymistyczne wiadomości. Owszem – z głośnika płynęły słowa pełne otuchy, ale trudno je było usłyszeć, ponieważ Niemcy zagłuszali. Po Londynie najlepiej było słyszeć wiadomości z Tuluzy we Francji. W końcu listopada 1939 roku władze okupacyjne zarządziły odbieranie obywatelom prywatnych odbiorników, a za posiadanie ich surowo

karaly, nawet śmiercią. Posiadane odbiorniki i punkt nasłuchu radiowego ulokowany został w majątku ziemskim Rowy. Notatki z nasłuchu robił i przekazywał do Wł. Józwickiego, łącznika ZWZ/AK w Górznie przesiedlony z terenu III Rzeszy T. Basiński.

Szczególne znaczenie w tej sytuacji miała prasa podziemna. Ona stanowiła pierwszy przejaw oporu, wzmacniała ducha, budziła otuchę i wiarę w zwycięstwo. Polska prasa konspiracyjna, która docierała do naszych rąk to pisma: „Biuletyn Informacyjny”, „Polska Żyje”, „Walka”, „Wiadomości Polskie” i „Żywią i Bronią”. Konspiracyjny punkt kolportażu mieścił się w sklepie Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w Górznie, gdzie pracowała nasza kuzynka Z. Balas. W naszej gminie Górzno, gdzie na czele z wójtem Piotrem Michalakiem wszyscy pracownicy należeli do Armii Krajowej Obwód „Gołąb”, wydawano gazetkę pod nazwą „Do Czynu”, a następnie „Apel”. Oczywiście nie wszystkie pisma wychodziły w jednym czasie.

W roku 1940 hitlerowcy umacniali swój aparat administracyjny w powiecie. Wszystkie stanowiska kierownicze obsadzone były przez Niemców, a oprócz tego sprowadzano różne grupy specjalistów do egzekwowania zobowiązań nałożonych na mieszkańców. Coraz bardziej wzmagala się walka okupanta z tzw. szmuglem – konkurentem handlu kontyngentowego. Tropiono głównie handlarzy artykułami spożywczymi – masłem, mąką, jajami itp. Wprowadzono godzinę policyjną od dwudziestej do piątej rano. Osoby poruszające się poza powiatem musiały zaopatrzyć się w przepustki wydawane przez urząd powiatowy. Był taki okres, że nie wolno było poruszać się rowerami czy motocyklami. Stosowane przydziały wódki na karty kontyngentowe służyły rozpijaniu ludności wiejskiej. Niezależnie od tego w wielu wsiach powstawały bimbrownie. Sytuacja materialna rodzin była coraz trudniejsza. Niedostatek zawitał też do naszego domu. Żywiliśmy się tym, co byliśmy w stanie sami wyhodować. Dzięki naszej wspaniałej mamie codzienne posiłki były nie tylko pożywne, ale i bardzo urozmaicone. Wspominam śniadania składające się z zacierek z razowej mąki z kartoflami na sytko, polanymi skwarkami ze słoniny lub masłem. Bardzo smacznymi daniami były różne potrawy z grzybów – latem ze świeżych, zimą z suszonych. Rodzice dbali o to, żebyśmy byli czysti i schludnie ubrani. Przebywająca w okolicy rodzina z Warszawy szyła nam ubrania z przerabianych starych rzeczy. Zamiast cukru używaliśmy miodu z własnej pasieki lub piliśmy gorzką herbatę. Sacharyna nie była używana w naszym domu. Najgorszą sprawą był brak mydła. Otrzymywane z przydziału za dostarczony kontyngent było śmierdzące, zapiaszczone. Mówiono, że jest zrobione z tłuszczu ludzkiego. Zamiast światła elektrycznego musieliśmy używać lamp naftowych, a następnie tzw. karbidowych. Lampy karbidowe były tańsze w eksploatacji, jaśniej świeciły, ale przy dłuższym przebywaniu w jej towarzystwie bolały oczy i głowa. Odczuwaliśmy to my, uczniowie, wkuwając wieczorem zadane nam do domu lekcje. Mieliśmy szczęście. Wszyscy nauczyciele w okolicznych szkołach byli zaangażowani w działalność podziemną przeciwko okupantowi.

W roku 1940/41 kończyłam siedmioklasową szkołę podstawową w Rudzie Talubskiej. Mimo że codziennie musiałam przebywać czternaście kilometrów pieszo, że wychodziłam z domu przed siódmą rano, a wracałam po południu, przez cały rok nie opuściłam ani jednego dnia. Na moim świadectwie, w języku polskim i niemieckim, są same stopnie bardzo dobre. Takich świadectw było bardzo dużo. Dojrzewaliśmy umysłowo i fizycznie. Coraz bardziej interesowaliśmy się sprawami dorosłych i uczestniczyliśmy w nich coraz częściej.

Mieszkańcy powiatu garwolińskiego byli coraz bardziej zaangażowani w pracę konspiracyjnej. Najlicniejszą organizacją i najbardziej aktywną była ZWZ/AK. Dużą rolę w rozwoju organizacyjnym odegrała łączność konspiracyjna między dowódcą obwodu a dowódcztwami placówek i rejonów oraz dowództwem w Warszawie. Główną zasadą było obsługiwanie placówek przez tych samych łączników. Niezależnie od znajomości osobistej podawane były hasła. Mimo aresztowania niektórych spośród nich, okupant nie dowiedział się nic o interesującym go polskim podziemiu. Przykładem może tu być postawa Władysława Józwickiego pseudonim „Sęp” z placówki Górzno, aresztowanego w czerwcu 1943 roku.

Ponieważ nasza miejscowość leżała na terenie trzech ważnych szlaków łączności pomiędzy Komendą Główną Batalionów Chłopskich a okręgami i obwodami położonymi na południe i wschód od Warszawy, mieliśmy możliwość poznać także kurierów tej organizacji. Często gośćmi byli też ludzie „Kulawego”, a także z organizacji „Miecz i Pług” oraz „GL-AL”. Przez okres ponad pół roku przebywał w naszym domu oficer prowadzący szkolenie żołnierzy BCh Zygmunt Sobieszczański. Nazywaliśmy go wujciem, ale niezbyt był lubiany.

Były takie dni, kiedy kurierzy z różnych organizacji spotykali się razem. Mama częstowała tym czym dysponowała w danym dniu. Wszyscy siadaliśmy przy jednym stole i słuchaliśmy opowieści o tym, jak przebiega walka podziemna z okupantem. Nie były to wiadomości budujące. Dowiadywaliśmy się o znęcaniu się Niemców nad ludźmi, traktowaniu Polaków gorzej niż zwierzęta. Wyzwalało to w nas bunt i dodawało sił do walki w ramach działających organizacji. Nikt nikogo nie pytał, jaką opcję reprezentuje, ale gdy trzeba było pomóc włączał się do akcji. Takim przykładem solidarności może być pogrzeb dwóch żołnierzy AK, którzy zostali zabici podczas akcji mającej na celu zniszczenie mleczarni w Górznie. Trzeci z nich został aresztowany, więc zaistniała obawa, że może nie wytrzymać znęcania się nad nim i wydać swoich współtowarzyszy. Nic takiego jednak się nie stało. Wytrzymał. Zabito go indywidualnie na tzw. Lisich Jamach w lesie koło Garwolina. Proboszcz parafii Górzno, prawdziwy patriota, postanowił że

zorganizuje im wspaniałą pochówkę i to w następnym dniu po zabiciu. Była to niedziela. Udział w tej smutnej uroczystości wzięła nie tylko nasza rodzina (byli to nasi cioteczni bracia), nie tylko ich koledzy, ale większość mieszkańców gminy i parafii.

Jesienią 1941 roku rozpoczęłam zajęcia w gimnazjum prowadzonym w ramach tajnego nauczania w Woli Rowskiej. Nauczycielami byli Bolesław Molenda i Jan Kryś. Oprócz mnie na komplety uczęszczali także ich synowie. Po przerobieniu każdej klasy zdawaliśmy egzaminy w liceum w Garwolinie – również w ramach tajnego nauczania. Małą maturę zaliczyliśmy w czerwcu 1944 roku. Obaj pedagodzy byli wysiedleńcami z powiatu krotoszyńskiego. Najwięcej problemów sprawiła mi nauka łaciny. Miałam szczęście, bo kurier Batalionów Chłopskich, który miał trasę przez naszą miejscowość, znał łacinę bardzo dobrze i pomagał mi. Nazywał się Robert Osiński. Wojny nie przeżył. Nie wiemy co się z nim stało.

W listopadzie 1942 roku zaproponowano mi złożenie przysięgi, ażebym mogła stać się żołnierzem Podziemnego Państwa Polskiego – Armii Krajowej. Było to dla mnie ogromne przeżycie, które ze wzruszeniem wspominam do dzisiaj. Pamiętam treść – jak pacierz: „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Maryi Panny, Królowej Korony Polskiej, kładę rękę na ten święty krzyż, znak męki i zbawienia, i przysięgam być wierna Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonym przezeń dowódcom Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszna, a tajemnicy dochowam niezłomie, cokolwiek by mnie spotkać miało”.

Zostałam łączniczką i sanitariuszką. W czasie 20-godzinnego kursu sanitarnego zapoznano nas z rodzajami ran, sposobami tamowania krwi, zakładania opatrunków i dawania zastrzyków. W ramach działań konspiracyjnych wspólnie z mamą opatrzyliśmy rany młodego człowieka, który uciekł z transportu kolejowego przed stacją w Woli Rowskiej i pracownika majątku Rowy, który został postrzelony przez Niemców pod krzyżem przy drodze prowadzącej do Garwolina, a ocalał ponieważ udał zabitego.

Szczęśliwie doczekaliśmy końca wojny, a właściwie tylko momentu wkroczenia Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego w lipcu 1944 roku. W listopadzie tegoż roku ojciec został aresztowany przez NKWD i wywieziony do obozu, gdzie zmarł.